№ 42. Warszawa, dnia 17 (5) Października 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Owanes ze swojej strony dotąd względem niej nie zapomniał się nigdy, jeżeli mówił o swem uczuciu, to nigdy wprost, rozumiał potrzebę delikatności w tym stosunku, który miał pozostać idealnym. Taka miłość czysta, spokojna, życie trwać mogła całe, rozumie się, byle zmysły i nerwy były zawsze posłusznymi woli obojga.

Helena patrząc na szklącą się powierzchnię wody, marszczącej się lekko, nieznacznie, marzyła dalej. Po lesie rozlegał się co chwila metaliczny głosik Zosi, szczebioczącej coś z guwernantką, czasami zadrżała wesoła nuta piosenki, a odbijając się o dęby i buki potężne, milkła w oddali. Matka ani piosenki, ani szczebiotu słyszeć nie mogła; fantazya swawolna pędziła myśl jej w świat wspomnień czarownych.

Przypominała sobie po raz setny bezładnie dzień wczorajszy, którego marzeniami żyła. Przecież to wczoraj powiedział jej pierwszy raz wyraźnie, stanowczo, że ją kocha tak samo, jak przed laty—jeszcze więcej, bo widzi ją smutną, tęskną i cierpiącą. Odpowiedziała mu na to:

— Panie, mój czas minął; mnie już nie wolno nikogo prócz męża miłować.

— Niech pani zapyta serca, czy wolno, czy nie wolno—czy można, czy nie można?—odrzekł jej na to.

A ona pytała serca, cała wstrząśnięta nagłem wzruszeniem, a to serce ją ku niemu ciągnęło bezwiednie.

Czuła, jak dusza traciła myśli wątek, jak się stapiała z jego duszą i nie wiedziała, jak się to stało, że powtarzała z nim razem: kocham cię, kocham cię...

— Helciu moja, duszo moja, czy kochasz mnie znowu tak samo, jak dawniej?

— Tak samo, tak samo — odszepnęła, i usta jej zlały się z jego ustami w jednym pocałunku gorącym.

A gdy odjechał, gdy wzburzone zmysły uspokoiły się nieco, i spoczęły, zwątpienie ze zdwojoną siłą wróciło, i męczyło ją okrutnie. Już wtedy żadne tłómaczenia przed sobą, żadne rozumowania nie pomagały; siła przekonań, sumienia skrupuł, odzyskiwał swe prawa i przynosił ze sobą wszystkie udręczenia duszy. Cierpiała, zdawało jej się, że grunt traci pod nogami, że przepaść pełna rozkoszy, ale i grozy tajemniczej ciągnie ją ku sobie nieprzeparcie.

W takich chwilach żałowała szczerze, gotowa się była wyrzec wszystkich upojeń, które jej dawały wspomnienia każdego drgnienia miłosne go dla Owanesa. Czuła, że gdyby naraz on, ten mąż jej, dobry, szlachetny, delikatny, który ją przecież kochał, gdyby on wrócił z Odessy i stanął przed nią, byłaby go na klęczkach błagała o przebaczenie. Ale jego nie było, on nie wracał, zajęty interesami; myślał może o niej, żonie swej i córce, i tęsknił za niemi zapewne.

Nie dowierzała już sobie, a bała się, by siły jej nie zbrakło, postanowiła unikać okazyi spotkania się z Ohaną aż do przyjazdu męża. A potem? Potem, już walka stanie się lżejszą, gdy okazyi mniej będzie, gdy mąż opiekę swą nad nią roztoczy.

Dlatego to przeczuwając, że Ohana znowu dzisiaj może przyjechać do Teleszówki, kryła się przed nim tutaj, w Romanówce.

Zajedzie do dworu, myślała sobie, a nie zastawszy nikogo, wróci do domu.

Uspokojona cokolwiek siedziała pod dębem, i przysłuchiwała się każdemu, nawet małemu szelestowi. Myślom swoim dała swobodę, jakby je wypróbować pragnęła, jakby im się przyjrzeć chciała, w jaką też stronę popędzą.

Była niespokojna; jakieś drżenie delikatne budziło ją z apatyi, a fantazya co chwila wracała niosąc na falach swych burzliwych obrazy, których lękała się jak ognia.

I widziała go, jak tryumfujący, ze sceptycznym, gorzkim uśmiechem swoim w kątach ust czerwonych, patrzy na nią, jak wyciąga ku niej ręce i ujmuje ją w objęcia męzkie, nie mogła wytrzymać, a jednocześnie czuła, że nie jest wstanie odepchnąć tego marzenia. Chwyciła znów książkę i czytać poczęła, gwałtownie się siląc na zrozumienie jej treści. Czytała, czytała, a na tych kartach widziała jedno i ciągle jedno tylko, widziała wyryte jego imię, w pamięci występował jego obraz, przypominały się jego myśli i słowa.

Z lasu doleciał ją okrzyk radosny Zosi; zapewne dziewczynka złapać musiała jakiegoś motyla ładnego a niezwykłego, i głośną o nim rozmowę prowadziła z guwernantką.

Widać jej nie było, czasami tylko mignęła poprzez gąszcz leszczyny niebieska, leciuchna jak pajęczyna sukienka Zosi; ukazywała się i nikła natychmiast. Po drugiej stronie jeziora ukryta między zielonymi liśćmi olbrzymiego buku siedziała kukułka i kukała swoją wiecznie jednakową melodyę.

Lustrzane tonie jeziora z jasnem świetlanem kołem po środku, wolnem od cienia rzucanego przez wyniosłe drzewa, broniły dostępu słońcu, marszczyły się za każdym podmuchem wiosennego wiatru, wiejącego od brzegów. Czasami ryba przecięła zwierciadło wodne i zaczerpnąwszy powietrza a światła, kryła się w głębi toni, zostawiając po sobie ślad jakiejś niby obręczy, rozpływającej się w kręgi coraz szersze.

Wtem doleciał jej uszu szelest jakiś, zapewne ktoś jechał drogą, echo bowiem donosiło aż tu-

taj skrzyp kół. Niebawem Helena po za sobą usłyszała stąpanie delikatne, jakby ten, co szedł, obawiał się zbudzić jej ze snu Młoda kobieta zadrżała; nieoczekiwane wzruszenie, bojaźń pomieszana z rozkoszą opanowały jej serce. Zerwała się, chciała biedz w stronę migającej się po drugiej stronie wody, niebieskiej sukienki Zosi, ale nogi jak gdyby sparaliżowane odmówiły jej na razie posłuszeństwa i oparła się tylko o wystający sęk drzewa blizkiego.

— Czy tak dalece przeraziłem moją osobą, że pani aż o ucieczce myślała?

Rozległ się w tej chwili głos Ohany, który jednocześnie stanąwszy przy niej, zdejmował z ukłonem kapelusz.

— Ależ nie... bynajmniej — mówiła podając mu rękę, podczas gdy rumieniec nagły wystąpił jej na twarz śniadą.

— Tylko tak... czytałam książkę... te niespodziane kroki...

— Przestraszyły panią?

Zdawała się nie słyszeć tego, cała wzruszona, ciągnęła więc dalej.

— Nie przypuszczałam nigdy, że mię tu kto szukać będzie, i że mię znajdzie; to uroczysko jest pomijane przez wszystkich.

— Tylko nie przezemnie. Ja wszędzie trafię, gdzie ty będziesz, ja cię przeczuję — dodał ciszej.

— A kto panu powiedział, że tu jesteśmy? — szeptała, nie podnosząc nań oczu. Tego wzroku lękała się jak czaru.

— Nikt. Powiedziano mi w Teleszówce, że pani nie ma, więc posiedziawszy chwilkę, chciałem wracać do domu, jednakże przejeżdżając drogą tu, około tego uroczyska, coś mi szepnęło: ona tu jest, ona tu z pewnością jest, i nie omyliłem się—znalazłem ją.

Umilkł. Oboje patrzyli w jedną stronę, na jezioro, w którem jak w lustrze odbijały się kontury potężnych buków i dębów, otaczających uroczysko wieńcem zielonym.

— Jak tu cudownie! — zawołał pierwszy Owanes. — Ile uroku i poezyi ma to miejsce!

— Tak, tu bardzo ładnie.

— Podziwiam ten zakątek malowniczy, podziwiając zarazem ciebie, moja ty nimfo leśna.

Rzekł i spojrzał na nią: w źrenicach palił mu się ogień natchnienia. A ona oczyma błądziła po wodnej toni i walczyła z sobą; czuła go znowu przy sobie. Znowu zapanował nad nią, a nie powinno było przyjść do tego, choćby ją to nie wiedzieć ile kosztować miało, ona musi się pozbyć uroku, który rzuca na nią ten człowiek.

Rzekła więc, a głos jej drżał smutnie, lecz stanowczo.

— Niech pan tak do mnię nie mówi, niech pan przestanie mnie tak nazywać, niech pan zapomni o chwilowem uniesieniu i wybuchu moim wczorajszym.

Na te słowa jemu znikł nagle z twarzy wyraz porywu serdecznego, przybladł nieznacznie, a w kącikach oczu zadrgał mu jego zwykły, sceptyczny, gorzki uśmiech. Ale milczał, słuchając, co ta kobieta powie mu dalej.

A ona c ągnęła, opanowując się stopniowo, szukając słów odpowiednich, jakiemiby mogła mu wyrazić to, co czuła w tej chwili.

— Ja się panie, zapomniałam wczoraj. Żałuję tego, bo nie powinny były nigdy z ust mych wyjść wyznania, do których nie ma prawa nikt oprócz mego męża. Wspomnienia zbudzone niebacznie z uśpienia przez pana, zdołały wzniecić w mej duszy płomień, o którym wiem tyle, że gdybym go zawczasu nie stłumiła, spaliłby mię w swym ogniu nieczystym.

— Nieczystym? Więc te wspomnienia takie niewinne, takie urocze, takie poetyczne, miały wzniecić ogień nieczysty?

— Tak, panie. Niech pan mi oszczędzi tłómaczeń, niech pan zechce sam wspomnieć. Poezya, tam była ongi, kiedyś, przed laty poezya i rozkoszna poezya, była, ja ją pamiętam, ja jej nigdy nie zapomnę.

I nowy prąd krwi gorącej zalał jej rumieńcem lica; w oczach przeświecał cień upojenia.

— Ja tego nigdy nie zapomnę! — powtórzyła nerwowo, mnąc książkę trzymaną w ręku.— Ale to się skończyło, przeszło. Rzeczywistość stworzyła inne życie, los narzucił inne stosunki, istnieniu nadał inny kierunek. Jemu muszę się poddać, bo jego moc, i siłę i więzy czuję nad sobą.

— Z losem, co więzi, co w niewoli trzyma, co gnębi, walczyć trzeba, nie poddawać mu się! — rzekł z mocą Ohana!

— Walczyć, kiedy już nie czas.

— Zawsze jest czas.

— Nie. Los stworzył obowiązek, a gdzie się zaczyna obowiązek, tam już tylko o poddaniu się tej konieczności myśleć potrzeba. Pan wie, że ja mam taki obowiązek — podniosła nań swoje oczy czarne, zachodzące przy tych słowach mgłą rzewności nieokreślonej.

— Widzi pan tam — i wskazała mu ręką niebieszczącą się wśród leszczynowych zarośli sukienkę powiewną Zosi.

— Pan mnie zrozumiał, pan mnie pojął — i głos jej się łamał.

— Jabym nieszczęśliwą była na życie całe i wieczność, gdyby z mej przyczyny choć odrobina nieszczęścia na nią, na tą małą pieszczoszkę moją spaść miała. Pan może wie, co to znaczy kochać nie tylko duchem, nie tylko wspomnieniem, lecz i każdym nerwem ciała, a ja ją tak kocham, tę moją dziecinę, ona stanowi trzy czwarte mojego życia. Kocham ją, jak tylko matka kochać może.

A on czuł w tych słowach prócz rzewności, obronę, niby bojaźń trwożną, i żal mu się jej zrobiło, a gniew i złość wzrastająca powoli stopiła się w nim w jedno tchnienie niezmiernego współczucia.

Wziął rękę, drżała lekko, nie wyrywała mu jej, bo nie była w stanie, ale zwolna ta energia, co w niej zapanowała zrazu, łamała się i nikła z każdą chwilą.

Pochylił się nad tą rączką drobną, zgrabną, o aksamitnym połysku i złożył na niej długi pocałunek. A podniósłszy na nią swe oczy, zaszłe mgłą smutku i tęsknoty nieskończonej, odezwał się z miękkością rzewną w głosie:

— Więc nie chcesz mnie kochać, boisz się mnie, boisz miłości mojej, czegóż więc żądasz odemnie? Mów, ja wszystko zrobię!

Milczała, nie wiedziała co odpowiedzieć, serce jej biło ze wzruszenia jak młotem. W duszy znowu powstał dawny zamęt; zdało jej się, że widzi tę wczoraj niedostrzeżoną przepaść niezgłębioną, która się pod jej stopami rozwarła.

Słuchała, a on ciągnął dalej ze wzrastającem uniesieniem głosem cichym, przechodzącym niekiedy w szept namiętny.

— Znasz tajemnicę mojej duszy, kocham cię tak, jak wówczas, kiedy z sercem rozdartem, z duszą w rozterce, a bezładem w myśli cały rozżalony, sponiewierany, opuszczałem tę Wysoką waszą. Jechałem w świat daleki, do obcych, bez pewności jutra, bez przeczuć jasnych, a jedna, jedyna tylko myśl, niby promień świetlany tlała w mej duszy. Tą myślą byłaś ty, ty jedna, jedyna. Boś ty była, jesteś i będziesz moją myślą wyłączną, mojem dobrem pierwszem i ostatniem, moją inteligencyą i siłą. Robiłem wszystko, by wyrwać się z nicości, by stać się godnym ciebie. Dopiąłem swego i po co? po co? powiedz mi. Powracam, i zastaję cię żoną innego. Ach, gdybyś ty wiedziała, co mię to kosztuje wysiłku woli, abym się przyzwyczaił do uważania cię za własność innego!... A ja zdołałem przemódz siebie, byle nie stracić cię zupełnie, bo bez ciebie nie ma dla mnie ni powietrza, ni światła, ni myśli, ni ziemi, ni... ni... ni...

Zatrzymał się i spojrzawszy jej nagle w oczy, w których odbijały się wszystkie jego uczucia, zapytał:

— Czy ty Helciu wiesz, co to jest pustka—nicość?

— Wiem, czuję co to jest. To piekło na ziemi.

— Wiedz-że o tem, że bez tej miłości byłbym w piekle. Ani już gdzie myśli zahaczyć, ani dokąd uczucia skierować, nieokreślona, bezgraniczna nicość obejmuje wtedy całą istotę naszą...

— Ach tak! to straszne, i ja miałam chwile takie.

— A ty na taką właśnie nicość, na takie piekło za życia skazujesz mnie tem odtrąceniem twojem.

— Ależ nie, ja nie myślę o tem — wyrzekła z wahaniem, a pierś jej podnosiła się gwałtownie, jakby tchu uchwycić nie mogła.

— Musisz tak myśleć, bo tego właśnie a nie czego innego żądasz ode mnie. Gdyby jeszcze o mnie jednego chodziło, to mniejsza — mówił dalej Ohana, — już raz byłem poświęcony molochowi spokoju rodzinnego — i w głosie zadrżał ton ostry szyderstwa, — ale tu przecież chodzi i o ciebie także.

— Tak, ja wiem... Nie mówmy o tem; zostaw mnie własnemu losowi mojemu.

I za głowę się schwyciła, jakby słuchać nie chciała dalej.

— Ty też pustkę także czuć w sercu i w duszy twojej będziesz, bo z istoty swej wyrwać mnie nie zdołasz—to napróżno! Nie probuj nawet!

— Okrutny!

— Ja wiem, jak bardzo tobą owładnęło to uczucie, ja wiem, jaki dzisiaj pożar w twej duszy, ja wiem, jaka tęsknota cię gnębi, ja wszystko wiem, bo ja sam kocham.

— Straszny jesteś, boję się ciebie.

Rumieniec jej znikł z liców, pokryła je bladość śmiertelna, a na twarzy jego zakwitł wyraz tryumfu okrutnego. Czuł, że zwycięża...

— Boisz się, Helciu, czemu? Przecież ja cię kocham! Powiedziałem, że wszystko zrobię dla ciebie, będę takim, jakim mię zechcesz mieć. Znasz mię i wiesz, że mi siły woli nie braknie.

W słowach tych brzmiała moc i szczerość wielka. Ogromny ten mężczyzna, którego każdy ruch zdradzał siłę niezwykłą, poddawał się w każdym dźwięku głosu, stojącej przed nim słabej kobiecie.

Nagle widząc, że ona cierpi okrutnie w tej walce, przechodzącej jej siły dodał półgłosem, prawie szeptem, tym rzewnym, smutnym, marzycielskim szeptem.

— Helciu, duszo moja, bóstwo moje, ja kocham cię, a jednak wolę mieć w sercu to piekło, o którem mówiłem, aniżeli być sprawcą twego smutku i cierpienia; chcesz—jutro mię już tu nie będzie. Zniknę znowu tak niespodziewanie, jak się niespodzianie zjawiłem, śladu po mnie nie zostanie; wszystko wyprzedam do ostatniej dziesięciny ziemi i ruszę znowu na Wschód, zaprzepaszczę się gdzie w górach Haistanu i nie usłyszysz o mnie więcej.

Wzruszenie gwałtem powstrzymywane opanowywało go, nie był panem siebie, słowa płynęły mu rzewne a smutne.

Zajrzał jej w sam głąb duszy, a dusza młodej kobiety tak samo przeglądała się cała w jej oczach, jak zachodzące słońce w zwierciadle jeziora.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRACA KOBIET.

III.

Nauka rzemiosł.

STROJE.

Przemysł to bardzo rozwinięty, nietylko za granicą i we Francyi, która ma całą armię modniarek, lecz i u nas, bo Warszawa odgrywa względem Wschodu rolę małego Paryża, który zaopatruje w modystki i w towar Cesarstwo, zwłaszcza zaś gubernie zachodnie.

Pomimo dużej konkurencyi, daje on jeszcze znaczne zyski. Wymaga pewnych uzdolnień artystycznych i nie obawia się produkcyi maszynowej, jak na przykład szewctwo lub introligatorstwo; oprócz tego jak u nas, niepodzielnie panują w nim kobiety.

W porównaniu z krawiecczyzną jest to zajęcie daleko lżejsze i zyskowniejsze.

Nie sądźcie jednak, że każda panienka, umiejąca szyć, może zostać dobrą modystką. Byłoby to niebezpiecznem złudzeniem. Fach ten wymaga specyalnego uzdolnienia, gustu, zręczności, dobrego smaku i znajomości kobiet, jeżeli chodzi o sprzedaż towaru w sklepie.

Komu brak tych podstawowych warunków, niech lepiej się zwróci w innym kierunku, bo tutaj czeka go tylko wegetacya materyalna.

Z pomiędzy dziesięciu dziewcząt, uczących się strojów sumiennie, jedna zaledwie może z czasem wyjść na t. n. starszą pannę, reszta z powodu nieudolności, musi poprzestać na pensyi kilkorublowej i tytule *podręcznej*.

O tem należy pamiętać, bo inaczej kilka lat pracy może pójść na marne.

Większość modniarek u nas rekrutuje się z różnych warstw miejskiej ludności. Dziewczynka, po skończeniu dziesięciu lub dwunastu lat zostaje oddaną do magazynu na naukę. Tutaj, rzecz prosta, nię od razu zaczyna praktykę właściwą, lecz przez rok najmniej odgrywa podrzędną rolę; biega po towar, z kapeluszami, zamiata i okurza w sklepie, uprząta pracownię, ba, nawet właścicielka i starsze panny wymagają od niej usług osobistych.

Rzecz naturalna, że uczennica nie pobiera żadnej pensyi przez cały ten czas; jeżeli okaże się zdolną, po upływie roku lub półtora wyznaczają jej wynagrodzenie bardzo skromne: 1 lub 2 rs. miesięcznie.

Praktyka, polegająca na długiem wykonywaniu ciągle jednej i tej samej czynności, jako to szycie i wszywanie woreczków, robienie łatwych fasonów z drutu, obszywanie rondek wstążką, trwa ze dwa lata. W ten sposób po trzech dopiero latach uczennica, zdolna nb., zostaje podręczną, której płacą z początku 3—5 rs., później zaś 6 — 10 rubli.

Stopniowo dają jej coraz trudniejszą robotę, a wreszcie pozwalają upinać, t. j. ubierać tańsze kapelusze.

Przy wrodzonym guście panna podręczna może z czasem zostać „starszą panną," t. j. główną pracownicą w magazynie.

Starsza panna z praktyką długą, z wprawą, smakiem i pracująca szybko, jest dziś bardzo dobrze stosunkowo płatną, poszukiwaną i zawsze może liczyć na miejsce.

Do niedawna płaca jej wynosiła w Warszawie od 20 do 30 rs. miesięcznie w sezonie, a połowę tegoż w miesiącach zastoju, to jest w Lipcu i Sierpniu.

Kiedy jednak w Rossyi pozakładano liczne magazyny, warunki te nawet polepszyły się, gdyż zdolne modystki są bardzo poszukiwane na wyjazd.

Jeżeli którakolwiek zdecyduje się przyjąć miejsce w odleglejszych guberniach Cesarstwa, może łatwo otrzymać 40, 50 a nawet 60 rs. miesięcznej pensyi, wraz z bezpłatnem mieszkaniem i utrzymaniem. Takie umowy zawierają się rejentalnie.

Jestto więc zarobek, jak dla kobiety, świetny, przewyższający, jeżeli policzyć wszystko na pieniądze, pensyę średniego urzędnika mężczyzny, buchaltera, subiekta i t. d.

Przy oszczędności można w lat kilka złożyć sobie kapitalik, zabezpieczający na starość byt niezależny, lub dający możność otworzenia własnego magazynu.

Nie namawiamy jednak naszych modystek do opuszczania kraju; na obczyźnie młoda, samotna panna jest narażoną na rozmaite przykrości, nie mówiąc już o wyzysku, jaki ją może spotkać, jeżeli nie zrobiła z pracodawcą formalnego kontraktu u rejenta.

Stwierdzamy tylko, że zapotrzebowanie modystek do Rossyi sprowadziło podwyżkę ich zarobków w Warszawie i w kraju wogóle. Modniarstwo jest więc dziś prawie że najkorzystniejszem rzemiosłem kobiecem, i pozostanie niem na długo jeszcze.

Dodajmy do tego, że starsza panna po opuszczeniu magazynu, może w domu ubierać kapelusze dla swych prywatnych klijentek i w ten sposób znacznie pomnożyć dochód.

Podczas sezonu, w Kwietniu, Maju i Czerwcu na wiosnę, w Październiku i Listopadzie na zimę, jest ona bezsprzecznie zajętą do późna nieraz i pracuje ciężko, ale ma za to wypoczynek w lecie, podczas którego bierze połowę, a niekiedy i całkowitą pensyę.

Droga zwykła wyda się bezwątpienia wielu przyszłym modystkom za ciężką i nie każda się odważy na praktykę, trwającą sześć, ośm a nawet dziesięć lat.

Nie dziwmy się temu bynajmniej, nie każda zresztą panna zaczyna dosyć wcześnie, nie każda też ma rodziców ubogich.

Wiele panienek bierze się do nauki strojów dopiero po ukończeniu nauk na pensyi, wiele posiada kapitalik, któryby chętnie zaryzykowały na założenie magazynu gdzieś na prowincyi. Takie osoby pragną się tylko obznajmić z grubsza z modniarstwem, gdyż zamierzają posługiwać się następnie płatnemi i fachowemi modystkami. Inne nakoniec chcą się nauczyć strojów tylko dla siebie.

Cóż mają robić takie osoby? Większa ich część zapisuje się na kursa modniarstwa w szkole rzemiosł.

Taki kurs trwa zwykle trzy miesiące i kosztuje 15—20 rs. Nauczycielką jest modystka fachowa, która pracowała kiedyś w magazynie, lecz teraz wolała przyjąć lżejsze miejsce w szkole. Ma ona 10—15 a nawet niekiedy 20 uczennic, które w przeciągu tak krótkiego czasu musi nauczyć czegoś.

Możeby i nauczyła, gdyby kurs trwał rok, gdyby zajęcia dzienne, zamiast 3 godzin, trwały przynajmniej 6, a co najważniejsze, gdyby uczennice miały w szkole praktykę.

Niestety, w tak krótkim przeciągu czasu w największym magazynie, zawalonym ciągle robotą, najzdolniejsza nawet panienka nie skorzystałaby dużo. Ot, nauczyłaby się wszystkiego, ale po łebkach, i gdyby następnie zechciała znaleźć miejsce starszej panny gdzieindziej, przyjętoby ją zaledwie za podręczną.

Ale szkoła nie ma roboty, uczennice zamiast prawdziwych fasonów, robią papierowe, lub co najwyżej grolinowe, ubierają je bibułką angielską zamiast materyi, albo perkalem i ordynaryjnymi kwiatami. Czasem tylko przyniesie ktoś do szkoły jaki kapelusik, który zwykle zrobi nauczycielka sama, z obawy, żeby uczennice nie popsuły materyału.

Zresztą, cóżby nawet znaczył jeden kapelusik dziennie, kiedy w szkole jest dwadzieścia uczennic.

Panna, po skończenie kursu strojów w szkole rzemiosł, co najwyżej jest zdolną robić sobie samej kapelusze, lub mało wymagającym i pobłażliwym kuzynkom; o dobrze płatnem miejscu *starszej* w magazynie mód nie powinna marzyć nawet, gdyż dozna bolesnego i upokarzającego zawodu. Co najwyżej przyjmą ją za podręczną i dadzą 5—7 rs. miesięcznie.

Po upływie lat paru jednak panienka taka obdarzona gustem, może osiągnąć cel zamierzony.

A zatem kurs w szkole rzemiosł jest nie wystarczającym dla osoby, która pragnie zrobić sobie ze strojów środek do samodzielnego utrzymania.

Jakże więc zrobić, żeby zaczynając późno, wykwalifikować się dostatecznie?

Istnieje sposób, stosunkowo pewny, lecz kosztowny i wymagający dużo energii, mianowicie płatny kurs w magazynie mód.

Renomowane zakłady tego rodzaju bardzo niechętnie przyjmują uczennice zamożniejsze i starsze, obawiają się bowiem, (do pewnego stopnia słusznie), że uczennica wykwalifikowawszy się i nabrawszy gustu w dobrej pracowni, założy

niebawem swój własny magazyn i powiększy i tak już uciążliwą konkurencyę.

Jeżeli właścicielka zdecyduje się na to, to wymaga wysokiej zapłaty, która dochodzi w najpierwszych magazynach warszawskich do 150 rs.

Dajmy na to, że panienka po ukończeniu kursu w szkole rzemiosł, wstępuje do takiego magazynu w celu wydoskonalenia się i zostania starszą panną, i że wnosi z góry żądany zapis.

Czy przezwyciężyła już wszystkie przeszkody? Bynajmniej. Czeka ją mozolna, ciernista droga, na przebycie której trzeba nietylko wytrwałości, pracowitości, zręczności, ale i dyplomacyi.

Właścicielka bowiem, pomimo 100 lub 150 rs. nie kwapi się bardzo z wykonaniem tego, co obiecała, stara się częstokroć (nie powiadamy zawsze), odsuwać uczennicę od roboty, wykonanie której byłoby dla niej z pożytkiem, aby ją zniechęcić i pozbyć się przyszłej konkurentki.

Gdyby nawet tak nie było, uczennica spotyka się z obojętnością lub nieprzychylnością starszej panny, od względów której całkowicie zależą postępy jej w wykonywaniu poprawnem roboty; musi także współzawodniczyć z koleżankami, zdobywać sobie miejsce przy stole, najbliżej starszej, zjednywać ją dla siebie, jednem słowem widzi się odrazu w warunkach, nieznanych sobie przedtem.

Trzeba dużo sprytu, ażeby zwycięzko przejść przez to pasmo przeciwności i intryg.

Mniej renomowane magazyny biorą znacznie mniej za kurs strojów (20, 30, 40 rs.) a skorzystać w nich można, przy dobrej woli, tyleż co w pierwszorzędnych, a niekiedy i więcej.

Panna nie przygotowana zupełnie, nie umiejąca szyć, nie mająca już pewnej praktyki z magazynu lub szkoły rzemiosł, niech nie wstępuje na powyższych warunkach do magazynu, bo daremnie straci czas i pieniądze. Roboty lepszej, samodzielnej nie dadzą jej, z obawy, żeby jej nie zepsuła, będzie więc musiała wykonywać najprostsze czynności bardzo długo, zanim jej pozwolą „ubierać kapelusze.”

Popracowawszy sumiennie przez dwa sezony w przyjaznych warunkach, przygotowana i zdolna panna może na tyle wykwalifikować się w strojach, że otrzyma 20 - 25 rs. pensyi, która w parę lat potem może się podwoić.

Na łatwiejszą i krótszą drogę niech nie liczy ta, która traktuje sprawę poważnie.

Zdarza się, że młode osoby, po skończeniu kursu w szkole rzemiosł, same zaczynają odgrywać rolę nauczycielek i przyjmują uczennice.

Takich „modystek” należy starannie unikać, gdyż nic od nich się nie skorzysta. Ogłaszają one, że podejmują się wyuczyć strojów w przeciągu trzech miesięcy za 10 rs., lecz temi przystępnymi warunkami nie zachęcajcie się, szanowne czytelniczki. Wybierając z dwojga złego mniejsze, lepiej już udać się do szkoły rzemiosł.

Ostrzeżenie nasze nie stosuje się jednak do modystek prawdziwych, które udzielają nauki strojów u siebie w domu. Kto zna się choć trochę na ludziach i na ubieraniu kapeluszy, ten rychło spostrzeże się i oceni słusznie kwalifikacye nauczycielki.

Streszczając się, powiemy, że za najpewniejszą drogę do wydoskonalenia się w trudnym zawodzie modniarki, uważamy długą praktykę w magazynie.

Kto jednak pragnie uniknąć nieodłącznych tutaj niedogodności i ma trochę zasobów, temu radzimy, po krótkiej nauce w szkole, lub u prywatnej sumiennej nauczycielki, wstąpić na dwa lata do magazynu dla nabrania wprawy i praktyki.

Powtarzamy raz jeszcze, że modystka zdolna może dziś łatwo zarobić od 30 do 50 rs. miesięcznie, zawód ten uważać zatem trzeba jako bardzo korzystny.

Veredyk.

Nasi najmłodsi.

(Dokończenie.)

Czytelnikom poważnych miesięczników naszych i tygodników niektórych, nie są obcemi utwory poetyckie podkreślane literami A. M-ski. Te same litery spotykaliśmy także pod przekładami z Beaudelaire'a i innych dekadentów francuskich.

Skłonnością do podejmowania tematów filozoficznych zbliża się A. M-ski do Langego. Brak mu jednak tego polotu wyobraźni, tego daru słowa, tej obrazowości, które znajdujemy u autora „Pieśni o słowie.” Fala twórczości A. M-skiego toczy się powolniej, leniwiej, ciszej, czasami przybiera bieg wartki, żywy, by za chwilę rozlać się znów w stojące prawie, płytkie wody. Ustęp, który przytaczam poniżej, może posłużyć za przykład takiego stopniowego słabnięcia prądu, zdradzającego w początkach swych sporo siły. Przemawia poezya:

„Ja stuimienna, a nie nazwana,
Kroplami rosy rankiem rozlana,
Na wonne kwiaty strojne barw tęczą,
Szumem puszcz, gwarem morza mówiąca,
Co budzą senną duszę młodzieńczą,
Jak bard, gdy struny dłonią potrąca,
I niemej lirze naraz użyczy
Cudnej wymowy pieśni słowiczej.”
i t. d.

Pośród poważnych, allegorycznych często utworów A. M-skiego bardzo sympatycznie przedstawia się charakterystyczny urywek, oparty na motywie ludowym, i bardzo trafnie wpadający w ton wieśniaczego zawodzenia. Jest to „Lament” nad umarłą dziewczyną:

„Była ona młodziuteńka,
Była ona ślieczniuteńka,
I rzuciła nas,
Była ona robotnica,
Była ona pomocnica,
Odeszła nie w czas!

Akcenta skargi podnoszą się coraz wyżej i wyżej, dochodząc wreszcie do kulminacyjnego punktu swego natężenia:

„Nie ustrzeże cię nikt, miła!
Ach coś ty nam uczyniła!
Czy tobie nie srom,
Że ot matka z bólu wyje,
Ojciec czołem w trumnę bije,
Taki pusty dom!”

Tu jęk przechodzi w płacz rzewny i cichszy co raz; wreszcie skarga milknie.

Wrażenie ogólne, jakie otrzymujemy od poezyj A. M-skiego, jest wrażeniem pewnego braku w organizacyi twórczej poety, braku siły, rozpędu, barwy. Charakterystyczny, pełen uczucia „Lament” jest wyjątkiem, śród utworów A. M. poważnych, trochę ciężkich, o kolorycie jednostajnie szarym.

Na konkursie „Tygodnika Illustrowanego” z przed laty kilku, obok wiersza Konopnickiej odznaczony został utwór p. t. „Sapho.” Odznaczenie to zwróciło uwagę na autorkę kryjącą miano swe pod pseudonymem: *Szczęsna.*

„Pamiętnik poety,” „Przelotne chmury” i „Poezye,” oto trzy książki, które zapewniły Szczęsnej jedno z wybitniejszych stanowisk pośród młodych zdobywców poetyckiego lauru.

Posłuchajmy, w jaki sposób poetka sama objaśnia nam genezę twórczości swojej:

„W serce się moje przesączył powoli,
Kropla po kropli zdrój smutku obfity,
Czułam, jak trawił serce żal ukryty,
Potem już tylko czułam, że coś boli,
Dziś tylko wspomnień błyszczą stalaktyty.

Te stalaktyty to — poezya.”

O ile dotycze utworów Szczęsnej, porównanie to jest dość trafnem. Istotnie, uczucie nie płynie u niej strumieniem burzliwym, nie wyrywa się potokiem lawy gorącej. Kraina twórczości jej to—kraina zamarła, pełna skamieniałości martwych, chłodnych, błyszczących, o których domyślać się tylko można, że były kiedyś płynnym żarem. Podobnie, jak większość młodych poetów naszych, należy Szczęsna do typu intellektualistów, których myśl więcej posiada mocy, niż uczucie, a przynajmniej z większą śmiałością ujawnia się w ich utworach, niekrępowana niczem ulatuje swobodnie. Jak mówi Szczęsna:

„Dla niej niema przestrzeni,
Dla niej niema granicy,
Ni końca.

Ona leci wśród cieni
Szybsza od błyskawicy
Przez okręgi mgławicy
Do słońca!”

Ten śmiały polot myśli i powściągliwość uczucia przyjąć można za cechy ogólne nowszej poezyj naszej. Niektórych organizacyj twórczych myśl jest panią samowładną. Ale nawet i ci z pośród młodych poetów, którym jeszcze w pewnych chwilach falą uczuć wzbierają dusze, nie pozwalają jej popłynąć swobodnie, rozlać się na szerokie kręgi. Oziębiwszy ją sztucznie, ze stwardniałego materyału wykuwają misterne strofy, rzeźbią skończone kształty sonetów, nie bacząc, że pod uderzeniami ich, nie zawsze mistrzowskiego dłuta, ginie częstokroć poezya sama. Uczucie za dni naszych nie ufa potędze swojej, obawia się uśmiechów szyderczych, kryje wstydliwie w szaty formy kunsztownej i wyrafinowanej.

W tej pogoni za formą niejeden talent zstępuje z drogi właściwego, przyrodzonego mu rozwoju.

Wyrazy ostatnie stosuję między innymi do znanego czytelnikom naszym poety, Wacława Wolskiego. Pamiętacie zapewne drukowane w piśmie naszem słowa:

„...Oj, nieraz takbym chciał przed wami
[w płacz uderzyć,
Ukoić myśli szał, z mych uczuć wam się zwie-
[rzyć,
Podzielić z wami ból...”

Jest to wybuch uczucia krępowanego i powściąganego długo. I cóż przeszkadza poecie wyspowiadać się z uczuć i cierpień swoich? Czytajmy dalej:

„Ale uprzejmy chłód, wyczekająca mina
Atycka w mowie sól mnie trzeźwią, nim się
[zbudzi
Przekory duch, co w lód porywy serca ścina.”

Innemi słowy: poeta milknie w obawie, że za skarby uczuć otrzyma monetę obojętności lub szyderstwa. Objawia się tu owa lękliwość uczucia, o której wspomniałam wyżej, a którą w naturach wrażliwych wyrabia i potęguje postawa krytyki naszej i publiczności względem poezyi wogóle. Ale, o ile domyślać się wolno, nietylko wpływy zewnętrzne są dla poety hamulcem. On sam w imię pewnej, z góry powziętej teoryi estetycznej przyrodzony prąd twórczości swojej ogranicza sztucznemi tamami rymów wyszukanych, form niezwykłych, nie pozwala mu strumieniem gorącym wprost z duszy własnej do dusz czytelników popłynąć.

Poezye Wolskiego wogóle chłodne, mogłyby, zdaje mi się, nie być takiemi, gdyby poeta zdobył się na odwagę wypowiadania uczuć swoich bez względu na przyjęcie, jakie im świat zgotuje, gdyby nie naginał talentu swego do *Miriamowej* kunsztowności, gdyby pozwolił mu iść drogą własną. Drukowany przed paru laty w „Ateneum” poemacik p. t. „Żórawie,” jest do pewnego stopnia stwierdzeniem tych przypuszczeń moich.

Zapoznajmy się z nim bliżej: Tłem wieczór jesienny, którego melancholia w sposób odpowiedni nastraja poetę. Nad głową jego odzywają się głosy ptaków wędrownych.

„Spojrzałem w górę, w bezdennem przestworzu,
Gdzie w chłodnym mroku gwiazd milion się
[pławi,
Płynęła wstęga kwilących żórawi,
Tęsknych żeglarzy w tem powietrznem morzu.”

Płynęła i przepłynęła już, a nad głową poety dają się słyszeć znowu głosy żałosne. „To trzy zbłąkane w otchłani żórawie” śpieszą za drużyną bratnią. Ten widok wyrywa poecie okrzyk:

„O zaczekajcie! I jam jest zbłąkany,
I jam jest trwożny, jam zmylił też drogę,
I ja też swoich odnaleźć nie mogę,
I stoję tęskny, księżycem oblany...
O zaczekajcie! Łez gorzkich żałobą,
Jak lilia rosą, nalana ma dusza,
Wasze kwilenie do głębi mnie wzrusza,
O duchy bratnie! Zabierzcie mnie z sobą!”

Melancholia łagodna, liryzm szczery, prostota, odzywają się tu dźwiękiem bardzo miłym i chwytającym za serce. Czujemy, że w tej chwili poeta istotnie jest sobą, że nie mierzy rytmów, słów nie odważa i nie dobiera, że one mu się narzucają same, smutne, łagodne, drżące skargą tęsknot i nieujętych porywów. To są słowa żywe.

Za rokującego niepospolite nadzieje uchodził w pewnych kołach przed laty paru Lucyan Rydel.

Młodzieńcze próby jego miały w sobie istotnie wiele żywotności, i przerwy, która w ostatnich czasach zaszła w twórczości jego, uważać nie można chyba za rozstanie stanowcze z aspiracyami poetyckiemi.

Od pierwszych chwil objawiał Rydel zamiłowanie w tematach poważnych, religijno mistycznych. Świadczy o tem fantazya dramatyczna „Dies Irae,” na której bardzo wyraźnie znać wpływ Maeterlincka, świadczy wiele drobnych utworów, z których jeden podaję tu w urywkach. Tytuł: „W Maju.”

„Słońce majowe w ognia koronie
Za las się czarny chowa,
Strzechy i sady, pola i błonie,
Owiała mgła różowa.
A w tej złocistej blasków powodzi,
W sukience z gwiazd utkanej,
Jakaś powiewna postać wychodzi
Na szmaragdowe łany.

. . . .

Drobne na piersi złożyła ręce,
I płynie po przezroczu,
Jakby zdumienie jakieś dziewczęce,
Z jej dużych patrzy oczu.

. . . .

A gdy po drodze dziecko napotka,
Co w polu pasie krowy,
Wtedy podchodzi cicha i słodka,
I włos mu gładzi płowy.
Wierzby garbate przy każdej strzesze
Kornie się przed nią kłonią,
Kwiatów u nóg jej klękają rzesze,
Modląc się do niej wonią.

. . . .

I przez wieczorną ciszę się niosą
Litanie te olbrzymie,
Płynie po świecie z wilgotną rosą,
Jej wniebowzięte imię.”

Czytelnicy osądzić mogą z tego artystycznego drobiazgu niezwykłe w pierwszych próbach pióra wyrobienie formy, zdolność poddania obrazu i nastroju. Bezwątpienia byłoby szkodą dla literatury, gdyby talent Rydla skutkiem jakichś trudnych do odgadnięcia przyczyn, wstrzymany został w swym rozwoju.

Na tym szkicu ostatnim przerywam studyum moje w nadziei, że niezadługo może znów do tej samej pracy powrócić mi przyjdzie, że tymczasem łany nasze bogatszem i barwniejszem kwieciem poezyj się pokryją, że może chłód serc ludzkich, który pąkom najpiękniejszym rozwijać się nie dozwala, przejdzie tymczasem w ciepło wiosenne, roślinność ducha budzące do życia.

H. C.

Kongres międzynarodowy berliński

w obronie

praw i dążeń kobiety.

(Ciąg dalszy).

Z prawdziwem zadowoleniem bierzemy pióro do ręki, aby się podzielić z czytelniczkami treścią obrad jednej z sekcyj kongresu — tej mianowicie, której ogólne zebranie powierzyło referat kwestyi obyczajów.

Miała zebranie otworzyć miss Hogg, przewodnicząca londyńskiego stowarzyszenia opieki nad upadłemi dziewczętami; z powodu jej chwilowego niedomagania wyręczyła ją pani Mina Cauer. Właściwy referat kwestyi wzięła na siebie pani Bieber-Böhm i wyszła z zasady, że to, co dzisiejszej cywilizacyi podobało się uznać jako złe konieczne, bynajmniej za konieczne uważanem być nie może i nie powinno — że przeciwnie zadaniem kobiety jako członka wielkiej Chrześciańskiej cywilizacyi, winno być usiłowanie powstrzymania szerzącego się zepsucia w obyczajach z jednej strony—i odwołanie się do prawa o mniejszą wyrozumiałość dla występku, niż ta, jaką jednomyślnie prawie organa państwowe za obowiązującą uznały.

Pani Sara-Prölss jako środek bezpośrednio prowadzący do poprawy obyczajów, uważa wychowanie odpowiednie młodzieży płci obojga. Powiada mówczyni, że jeśli nie zapobiegniemy od pierwszych lat dziecka jego zepsuciu, jeśli nie usuniemy z jego oczu gorszących przykładów, książek podniecających wyobraźnię — jeśli jednem słowem nie stworzymy dziecku i dorastającej istocie młodej atmosfery czyściejszej a surowszej — wszystko co się będzie robić dla obyczajów będzie tylko półśrodkiem.

Pani Cauer mówiąc o klasach zarobkujących, tych mianowicie, w których poniżenie się kobiety jest wypadkiem niemal codziennym, oburza się na tak zwane w Niemczech: „Hungerlöhne” to jest wynagrodzenia głodowe. Młoda dziewczyna, która może zapracować tyle tylko, wiele potrzeba, aby nie umrzeć z nędzy, pada z konieczności samej, ofiarą — nie już pierwszej pokusy, ale pierwszej sposobności doraźnego zaradzenia niedostatkowi, który ją udręcza. Żądać cnoty w podobnych warunkach, jest to żądać heroizmu. Dodajmy do tego sromotne, a nie rzadkie bynajmniej, wyrachowania pracodawców samych, a mieć będziemy ponury obraz konjunktur, które się na zgubę istoty młodej a ubogiej sprzysięgają. Zdaniem pani C. jeśli nie możemy marzyć o podniesieniu ogólnem kobiety, a tem samem i kobiety klass ubogich, musimy dać za wygranę całemu wielkiemu dziełu poprawy obyczajów. Ostatecznie stawia mówczyni zapytanie, ażali osiągnięcie tych ideałów przy dzisiejszych urządzeniach i prawach jest możliwe lub nie?

Panna Otylia Hoffman widzi, iż jedną z głównych przyczyn ujemnego stanu rzeczy w tej sferze stosunków jest alkoholizm.

Powołuje się ona na rezultaty ostatnie badań lekarskich co do zmian w ustroju mózgowym wywoływanych przez alkohol, i tłómaczy wpływ uje-

mny jaki na wolną wolę jednostki wywierają odurzenia alkoholiczne. Proponuje reformę kuchni ludowych i zachęca do wynalezienia napoju, któryby tanością rugował napoje dzisiaj używane, a składem swoim wewnętrznym różnił się zasadniczo od wszystkich oddziaływających tak zabójczo na organizm ludzki.

Pani Ginsberg traktuje upadek kobiety jako nieuniknione następstwo wszystkich dzisiejszych urządzeń społecznych, a pani Klara Ziegler korzysta ze sposobności, aby zapoznać słuchaczki z tą formą stosunków społecznych, jaką uważa za konieczną dla szczęścia ludzkiego.

Po tej małej dygressyi spowodowanej przez głos ostatniej mówczyni, sprowadza na grunt realny obradujące panie pułkownik Egidy, który daje rodzicom do rozwiązania łamigłówkę dosyć skomplikowaną — nb. rodzicom klass zamożnych i oświeconych.

Według jego zapatrywań niedosyć dobieranem bywa towarzystwo męzkie nawet w tych domach, które o wychowaniu córek należyte mają pojęcie. Młodzież przychodząca Bóg wie zkąd wnosi z sobą pod dach uczciwy pojęcia i obyczaje, od których wpływu każda młoda dziewczyna najbardziej strzeżoną być winna.

Bezpotrzebnie psują rodzice bardzo często własne swoje dzieło dla marnych względów.

Tak się zakończyły w tym dniu obrady sekcyi.

Pocieszające i pełne otuchy wrażenia dają światu zgromadzenia przejęte takiemi uczuciami. Kobieta dopomina się o światło, aby rozproszyć mroki nędzy i upodlenia, kobieta nie desperuje tam gdzie dał za wygranę prawodawca mężczyzna, kobieta w imię godności płci swojej zapytuje przeszłości o rachunek z tego, co zrobiła z czcią niewieścią klass pracujących. Zapytuje z goryczą, dlaczego cywilizacya pozwoliła na dwa kodeksy moralności, jeden dla szczęśliwych i możnych — drugi dla ubogich. Nareszcie postanawia kobieta iść niezmordowanie do wielkiego celu i zabezpieczyć od upadku to, co nieskażone, a w imię Chrześciańskiego przebaczenia rozgrzeszyć to, co upadłe.

Rozgrzeszyć — ale nie upoważnić.

Podawszy w swoim czasie czytelniczkom „Tygodnika” wiadomość o pierwszem żeńskiem gimnazyum w Carlsruhe i przypominając im wzmianki robione o postępie sprawy uniwersyteckiego wykształcenia kobiety w Austryi — nie widzimy dzisiaj konieczności powtarzania referatu pani Otylii Bistram o stanie tej szkoły, którą się bardzo cieszą kobiety całych Niemiec, ani utyskiwań pani Roesler z Wiednia, która daje słuchaczkom obraz nadmiernie powolnego biegu sprawy kobiecej oświaty w Austryi.

Panna Nickart, która przynosi kongresowi pozdrowienie uniwersytetu w Chicago, daje historyczny przebieg uniwersyteckiego wykształcenia kobiety w Ameryce. Jako pełen otuchy obraz dla tych, którzy w umysłowem udoskonaleniu kobiety widzą rękojmią lepszej przyszłości dla społeczeństwa i rodziny, przytacza mówczyni zbiór cyfr statystycznych dotyczących tej sprawy. Z tych cyfr wyjmiemy kilka, które nas najbardziej interesować mogą. Oto one: Z pomiędzy 60,000 kobiet, które w Ameryce korzystały z dobrodziejstwa studyów wyższych, jest obecnie zamężnych 38%. W domu u siebie żyje 20% takich, które nie potrzebują zarobkować. Stanowi nauczycielskiemu na różnych stopniach naukowej hierarchii oddaje się 36% a 5% widzimy zużytkowujących swoją wiedzę na rozmaitych polach pracy.

Jest dotąd między kobietami zamężnemi mniejszość takich, które odebrały wyższe wykształcenie, ale za to w tej mniejszości o rozwodach nie słychać wcale. Jest to istotnie objaw niemałego znaczenia.

Delegowana na kongres berliński pani Konstancya Rudnay, wiceprezydująca węgierskiego stowarzyszenia kobiecego, dla popierania wyższej oświaty niewieściej, nie mogła przybyć z powodu choroby w rodzinie, i dlatego zastąpił ją w sprawozdaniu z ruchu kobiecego na Węgrzech profesor uniwersytetu doktór Bernhardt. Pierwsze gimnazyum żeńskie otwarto w roku bieżącym w Peszcie. Uczennic zgłosiło się 80, co mówca uważa na początek jako pomyślne.

Panna Lydya Rabinowicz doktór filozofii delegowana „Womans Medical College of Pensylwania,” odczytała swój wykład o studyum medycznem kobiety w Ameryce. Panna Rabinowicz twierdzi, że lekarskie powołanie kobiety za oceanem stanowi zawód zarówno zaszczytny jak zyskowny, który przynosi w pewnych wyjątkowych okolicznościach do 10 a nawet 20 tysięcy dolarów rocznego dochodu. Ale i w Ameryce wdarcie się do tego powołania nie przyszło bojowniczkom łatwo, podobnie jak w Anglii, gdzie kobieta na bardzo małych korzyściach zrazu poprzestać była zmuszoną. Są to wszystko wskazówki pouczające dla tych krajów i państw, gdzie kwestya kobieca pozostaje dotąd w fazie początkowania. Ani się zrażać, ani wątpić o przyszłości i rozwoju nie godzi się. Z czasem ten rozwój stać się musi koniecznością, a powodzenie przyjdzie samo z siebie.

Potem przemawiała panna Dodd w imieniu pani Gollovay, przełożonej „Margareth's College” w Glasgowie, a po niej doktór Teodora Krajewska z Bośnii.

O referacie pani Teresy Schlesinger-Eckstein z Wiednia, która przedstawiła kongresowi rezultaty ankiety przedłożonej Parlamentowi austryackiemu, nie powiemy nic w tem miejscu. W swoim czasie miały tę wiadomość czytelniczki „Tygodnika” podaną szczegółowo w osobnym artykule.

Miss Florencya Routledge delegowana „Womans-Trade Union” z Londynu opowiada o środkach przedsięwziętych przez Stowarzyszenie dla podniesienia kobiecego stanu robotniczego; kobiety warstw zamożnych pracują tam ze szczerem przejęciem dla warstw ubogich. Dziwi się tylko sprawozdawczyni, dlaczego działalność Trade-Union'u nawskróś pokojowa i pojednawcza tak małem stosunkowo między szerszemi kołami publiczności europejskiej cieszy się uznaniem.

Pani Lili Braun z domu Gizycka znana czytelniczkom naszym także jako kierowniczka tygodnika „Ethische Kultur,” mówiła o kwestyi kobiecej z punktu zapatrywania krańcowej demokracyi w Niemczech.

W tym samym duchu odzywała się delegowana włoska doktór medycyny Marya Montessori. Przedmiotem, który sobie wybrała, były zarobki robotnic.

Zamiast pani Reinschmidt-Kuczalskiej ze Lwowa, mówiła pani Vincent z Paryża: O znaczeniu reformy w gospodarstwie domowem i w przemyśle dla rozwoju kwestyi kobiecej.

Doktór filozofii Duszyńska czytała swoją pracę o przeludnieniu kobiecem. Treścią odczytu było naruszenie równowagi liczebnej w stosunku kobiety do mężczyzny w wielkich ogniskach przemysłowych. Kobiet bez specyalnego powołania jest dwa razy więcej niż mężczyzn, ztąd ich bytowanie wyłącznie na niższych szczeblach różnych hierarchij.

Na tem zakończyły się obrady w dniu 23 im Września.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZKĄD SIĘ BIORĄ PRZESTĘPCY?

Obrazek z niedawnej przeszłości.

(Ciąg dalszy)

Nie był jednak ten Kajetan tak drętwym i apatycznym, jak się jego dziedzicowi wydawało. Nie był mu obojętny ani ten zagon, na którym się urodził i na którym umrzeć miał nadzieję, tylko trzeba było wziąć w rachunek jego rozwagę wrodzoną, jego długą cierpliwość i dziedziczną rezygnacyę, które na żaden wybuch entuzyastyczny nie pozwalały, i które wobec każdej zmiany choćby na lepsze nawet, miały swoje zastrzeżenia — swoje niewiary i obawy.

Nie był apatycznym Kajetan i niktby tego nie powiedział, kto umiał czytać w twarzach ludzkich, a miał sposobność widzieć tego człowieka, gdy się przypatrywał dziecku swojemu, lat dziesięć podówczas liczącemu chłopczynie.

Nie chowały mu się dzieci, pięcioro ich pogrzebał w ciągu kilkoletniego z żoną pożycia; został ten jeden tylko i na niego też skoncentrowało się wszystko, co było czułości na dnie tej duszy prostaczej, tak zimnej pozornie, a tak prawej i gotowej do ofiar, jak się temu właśnie, który go pomawiał o apatyę, w niedługim czasie przekonać przyszło.

Szczególne bo też to było chłopię ten Józiek dziesięcioletni. Niby taki jasnowłosy i niebieskooki jak seciny całe dziatwy wiejskiej, miał przecież sporo właściwości swoich, które go od całej rzeszy rówienników wyróżniały.

Jedynemu dziecku zamożnego gospodarza, jedynemu nadewszystko, które zostało przy życiu, dano więcej wolności, niż mają zwykle dzieci na wsi, które już w tym wieku pracują, znają co obowiązek i przymus codzienny. Józiek do żadnej cięższej roboty nie używany, co najwięcej pilnował latem koni na pastwisku, pod lasem, i tam nawykł wpatrywać się w fale rzeki, tam wsłuchiwał się w szmery olbrzymich sosen i dębów blizkiego lasu. Tam też na tych szmaragdowych błoniach zapewne zbudziły się w nim zawczasu szczególne jakieś popędy artystyczne. Ci, którzy się na tem rozumieli, twierdzili z najgłębszem przekonaniem, że i tony wierzbowej fujarki w porze wiosennej i fantastyczne akordy, które przez resztę roku dobywała z siebie skrzypka samorodnego wiejskiego wirtuoza, w niczem nie były podobne do monotonnego rzępolenia towarzyszów jego.

Zapatrzony w jego twarz szczególnie rozogniona w takich chwilach, jeden z malarzy, który nad brzegami Szreniawy szukał sobie typów do swoich studyów, zapałał do tego modelu, bo jak mówił, marzony przez lat wiele grajek czarodziejski objawił mu się najniespodziewaniej.

Ściągnął Józka, potrafił nawet ująć go sobie i rozpoczął pracę, która w miarę jak się przedłużała, niecierpliwiła chłopaka, a zniechęcała młodego malarza z godziną każdą więcej.

Natchniony grajek wobec stalug płótna, i przymusowej pozycyi, okazał się tylko gapowatym wiejskim pastuchem, a tej iskry Bożej, która mu błyszczała na czole, podczas gdy tonął w wywoływanych przez siebie dźwiękach, nie było sposobu wymódz na nim namową, zachętą ani przymusem. Grał, jak widać dla siebie, dla tej rzeki i tego lasu, ale na ludzkie żądania, prośby czy rozkazy grać nie chciał, albo nie mógł. Prawdopodobnie — nie mógł.

Zawodu, którego doznał artysta, doświadczyli pod pewnym względem zarówno nauczyciel szkółki wiejskiej, do której Józiek w dziesiątym roku życia uczęszczać zaczął, i stary proboszcz z Poręby przy nauce katechizmu. Chłopiec na pierwsze zaraz spojrzenie uderzał poprawnością rysów, wyrazem oczu bystrym i rozumnym, tymczasem z poznawaniem liter szło mu niesłychanie opornie, a przy składaniu sylab pozostał czarodziejski grajek w tyle za wszystkiemi niemal dziećmi wiejskiemi, które z nim jednocześnie wstąpiły do szkoły. A jakkolwiek dosyć mu było raz jeden usłyszeć cokolwiek ujętego w rymy, żeby bez omyłki żadnej powtórzyć natychmiast, to przecież tą swoją przewagą wyłączną zawziętości wiejskiego pedagoga bynajmniej przebłagać nie zdołał, ani się uwolnić od epitetu nieuka, którym go raz na zawsze ochrzcił jego szkolny prześladowca.

Nie lepiej wiodło się proboszczowi z katechizmem, tylko, że ksiądz miał do rodu Góreckich zdawna wszczepioną predylekcyą, a przytem niedostatki Józkowej umysłowości nieco odmienniej przedstawiały się księdzu — o wiele światlejszemu od starego, rutynowanego bakałarza. Przykazania Bozkie z kościelnemi mięszał chłopiec od początku do końca nauki; uczynków miłosierdzia od cnót teologicznych rozróżniać się nie nauczył nigdy, ale za to nie było legendy ani podania, któregoby chciwem uchem w lot nie pochwycił, a potem gdy od niego powtórzenia zażądano, oddawał to wszystko ze szczególnym wdziękiem, własnym swoim językiem i z tą cechą odrębną, którą jedynie nadać umieją opowiadaniu umysły bogate a pierwotne.

Ile razy przyszło księdzu zestawić to nieuctwo, a raczej tę oporność w jednym kierunku z niepojętą prawie lotnością, którą zdradzał malec pod innym względem, tyle razy pocierał starowina czoło frasobliwie, mrucząc do siebie pod nosem.

— Szczególna dola pisana być musi tobie biedaku. Tak czy owak, nie rodzić ci się chyba było w chłopskiej chacie z twoją głową dziwaczną. Zamiast przyrządów do pełzania, wyrasta ci coś w rodzaju skrzydeł, a ty i tak na nich do góry nie podlecisz. Daj Boże, żeby ci się to nie na szkodę obróciło.

Niejednokrotnie też dzielił się z dziedzicem Poręby tego rodzaju spostrzeżeniami odnośnie do syna Kajetana Góreckiego, ale na to zawsze jedną i tę samą odbierał odpowiedź.

— Zobaczymy. Straconego nie ma nic. Jeżeli się ma on tak dalej rozwijać, to się przecież dla niego coś obmyśleć musi. Świat dla wszystkich otworem stoi.

Jak widzimy, dziwili się Józkowi nauczający w rozmaity sposób, ale i między swoimi umiał on także wzniecać różnego rodzaju podziwy, a nawet zawiści.

Nawykli już mieszkańcy Poręby do codziennego w letnich miesiącach charakterystycznego łoskotu, który w pół godziny jakieś po zachodzie słońca niby echa dalekiego huraganu zbliżał się ku wsi powoli, potężniał z chwilą każdą wreszcie kończył hukiem gwałtownym, po którym nagle cichło wszystko niespodziewanie, a sioło zapadało w swój senny letarg nocny, z którego je pierwsze dopiero brzaski jutrzenki budziły.

Ten łoskot podobny zupełnie do nadchodzącej nawałnicy, to były konie włościańskie powracające z błonia podleśnego, a ten grzmot ostatni oznaczał wdarcie się całej czeredy na most przez rzekę rzucony, poczem uspokajało się nagle, bo konie trafiały z mostu bezpośrednio na dużą ławę piaszczystą od strony wsi i tu już pojedyńczo rozsypywać się zaczynały po osadach włościańskich. W tamtej okolicy chował każdy gospodarz cztery albo pięć koni, więc to nie żadne kilkanaście sztuk liczące stadko, ale tabun cały tętniał po tem błoniu, tabun przed którym usuwało się wszystko co żyło, a z którym spotkanie się w takiej chwili na moście nieladajakie przedstawiało niebezpieczeństwo.

Były oczywiście protesty ze strony starszych przeciwko pośpiechowi, z jakim się ten codzienny powrót odbywał, ale wytrwałość wiejskich swawolników, dla których ten szalony bieg nocny stanowił rozkosz niczem nieopłaconą, udaremniała wszelki opór i zakazy. I dopiero jakiś świeży wypadek — złamanie nogi końskiej w ścisku na moście, albo podeptanie, którego z niefortunnych jeźdźców, który się przy wierzganiu i biciu wzajemnem zwierząt, na grzbiecie końskim utrzymać nie mógł — dopiero katastrofa taka kładła na czas jakiś tamę nadużyciom. Niebawem jednak wracało wszystko do dawnego obyczaju.

Cały ten bieg opętany prowadził zawsze Józiek i od tego przodownictwa zasługą zdobytego nigdy się on odsunąć nie dał, a przyznać należy, że miał zawistnych i to nie tylko między rówiennikami. Znaleźli się i ojcowie którym nie po sercu były takie stałe przewagi jednego, więc się uciekali niekiedy do przymówek staremu Góreckiemu, podając w wątpliwość talent jego jedynaka.

Po długich deszczach czerwcowych zebrało się w Porębie nareszcie na pogodę; kilkudziesięciu kosiarzy w długi rząd rozsuniętych dokończało łąk dworskich, żeby się ze swemi własnemi uprzątnąć przed nadchodzącem żniwem, więc nie dziw, że i po zachodzie słońca słychać było brzęk osełek o stal, że się zapóźniono z robotą, byle dociąć kawała jakiegoś łąki, do którego jutro powracać się nikomu nie chciało.

Opodal po za rowem pasły się konie pod dozorem chłopców wiejskich.

— Strzygą sobie szkapy uszami — zauważył jeden z kosiarzy, — pomiarkowały i one, że czas do domu.

— Bogać tam nie czas — przywtórzył jeden z młodszych parobczaków, a wiadomo przecie że takim robotnikom najpierw się zawsze pora wieczerzy przypomina.

— Już też i gwiżdżą na konie tamci od lasu, to się zbiorą do kupy za jakie dwa pacierze.

— A mały Kajetaniak gdzie? — zapytał któryś, — przecie bez niego nie ruszą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nowe książki

NADESŁANE REDAKCYI „TYGODNIKA,"

Nakładem firmy Gebethnera i Wolffa:

Komedyantka, napisał Wł. St. Reymont.

Klęska, powieść Kazimierza Glińskiego.

Szubrawcy, przez Maryana Gawalewicza.

Nakładem Centnerszwera:

Wojna w czasie pokoju, opowiedziała Zofia Urbanowska.

Arcydzieła Szekspira zesz. 62—64.

O karmieniu niemowląt, p. d-rów Kramsztyka i Fruchtmana.

Nakładem firmy Wizbek:

Dla zdrowia ludu, p. d-ra Tchórznickiego.

Odpowiedzi od redakcyi.

Ww. Pp. Świe. M. w Oszmianach, Leś. w Łudze, Kyb. w Markach. Wen. w Nieświeżu. Kwartał III wyczerpany. Prenumeratę za III przenieśliśmy na IV kwartał r. b., a tam gdzie nadesłano opłatę więcej niż kwartalną, przenosimy na IV bież. i rok przyszły, o ile starczy.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i dla prenumeratorów na prowincyi katalog księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Дозволено Цензурою, Варшава 1 Октября 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**